

The background of the poster is a composite image. The top half features a close-up of a Viking man with a large brown beard and intense blue eyes, wearing a brown leather tunic with circular metal ornaments. He has a sword slung over his shoulder. To his right is a Viking woman with long blonde hair in two braids, also with blue eyes, wearing a dark tunic with a fur collar and a necklace of silver discs. The bottom half of the poster shows a scene of several Viking longships on a body of water under a dramatic, orange-hued sky, suggesting a sunset or sunrise. The ships are filled with people, and the water is choppy.

WYPRAWA GNIEWOMIRA

PIOTR SKUPNIK

WYPRAWA GNIEWOMIRA

PIOTR SKUPNIK

Wersja Demonstracyjna



PSYCHOSKOK

Piotr Skupnik
„Wyprawa Gniewomira”

Copyright © by Piotr Skupnik, 2018
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Korekta: **Dominika Urbanik, Marlena Rumak**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Skład: **Jacek Antoniewski**
Ilustracje na okładce: **Vlastimil Šesták, Neuron Photo,**
Mike Orlov, Fxquadro – Fotolia.com

ISBN: 978-83-8119-277-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

PIEŚŃ O GNIEWOMIRZE ZUCHWAŁYM

Gniewomir, nasz jarl zuchwały i niezwyciężony,
Rozmłowany w niewiastach i niepohańbiony,
Niegardzący mocnym piwem i szlachetnym winem,
Wypiął tylek Odynowi, by stać się chrześcijaninem.

Na wodach Sundu stawał mężny, nieugięty,
Aż wyszedł mu naprzeciw Smoczy Łeb nietknięty,
Lecz nasz nieulękły jarl w mig się z nim rozprawił
I do pałacu w Asgardzie rychło go wyprawił.

Za ukochaną ruszył na sam kraniec świata,
W wyniku podłych knowań przyrodniego brata,
Na mrocznej wyspie wojów swych ze smyczy spuścił
I samemu Krwiopijcy miarkę krwi upuścił.

PROLOG

Jest dżdżysty wrześnieowy poranek, roku pańskiego 1050. Od trzech dni niemal nieprzerwanie pada deszcz. Promienie słońca nie mogą przebić się przez kożuch ciemnych chmur zakrywających niebo. Jest chłodno i nieprzyjemnie. Zimny wiatr przenika przez ściany domostw i dociera aż do szpiku kości. Wszyscy otulamy się ciepłymi okryciami, chroniącymi przed zimnem i z utęsknieniem czekamy na powrót ciepłych dni. Wierzimy, że one nadejdą. Wszak do zimy jest jeszcze daleko.

Otwieram ciężkie okiennice, aby oświetlić izbę, w której sypiam. Spoglądam na tkwiącą w ścianie pochodnię, która dopiero co się wypaliła. Przenoszę wzrok na swoje łożo pokryte miękkimi skórąmi. Spoczywa na nim mój topór, tarcza oraz hełm. Kolczugę mam dziś na sobie, a miecz trzymam krzepko w prawej dłoni. Przyodziałem się jak do bitwy, gdyż uznałem, że to właściwe. Widok bojowego oręża ułatwi mi przywoływanie wspomnień.

Rozlega się ciche pukanie oraz skrzypienie otwieranych drzwi. W progu izby staje moja córka, Marzanna. Nadal jest piękna, mimo pięćdziesięciu lat. Jest bardzo podobna do swojej matki. Kiedy patrzę na jej twarz i spoglądam na włosy, widzę moją ukochaną – Welewitkę.

Marzanna podchodzi do stołu i stawia na nim gliniany dzban wypełniony ziołowym napitkiem oraz dwa drewniane kubki. Spogląda na mnie i uśmiecha się radośnie.

- Wybierasz się na kolejną wojnę, ojcze? – pyta.
- Tak, córko – odpowiadam. – Niebawem znów przywołam minione czasy i będę wojował.
- Ksiądz Anzelm już zakończył modlitwy. Wkrótce cię odwiedzi.
- Dobrze. Nie mogę się już doczekać.
- Małe sierotki, Bogusz i Hanka, też czekają na ciebie. Obiecałeś im, że przyjdiesz.
- Wiem. Zapewnij dziatki, że nie zapomniałem. Przyjdę do nich dziś przed snem i opowiem im przypowieść o orle i wężu.
- Będą zachwycone, ojcze.
- Rzeknij mi jeszcze córko, gdzie Jaśko Tur? Może by powspominał razem ze mną.
- Widziałam go, jak szedł do boru z chłopcami, aby narąbać drew na opał. Wiesz dobrze, że on nie gustuje we wspominkach.
- Cóż. Jego strata.

Marzanna wychodzi z izby, a ja siadam na krześle i czekam. Nalewam napoju do kubka i rozkoszuję się jego miodowym smakiem. Równocześnie pograżam się we wspomnieniach.

Po raz kolejny przywołuję burzliwe wydarzenia z mojego dzieciństwa i młodości. Widzę matkę brodzącą po mokrym piasku na plaży. Widzę ojca wyruszającego na polowanie z ciężką włócznią w dłoniach. Widzę brata mocującego wiosło sterowe do burty swej łodzi. Widzę siostrę wróżącą z patyczków runicznych, wystruganych z jesionowego drewna. Widzę moją Welewitkę, która kładzie dłonie na główkach dzieci zgromadzonych przed świątynią Świętowita. Widzę również wpadające na siebie drakkary. Słyszę

trzask pękającego drewna oraz wrzaski zabitych i jęki rannych. Znów dostrzegam strasznego Elfhelma kroczącego w moją stronę z olbrzymim młotem i okazałym mieczem w rękach.

O tym wszystkim jednak już opowiadałem. Owe wspomnienia zostały zapisane na pergaminowych kartach. Teraz nadeszła pora na dalszy ciąg mojej spowiedzi. Nadszedł czas na streszczenie pierwszych lat w służbie księcia Bolesława. To właśnie z woli mieszkowego potomka skrzyżowałem ostrza z przyrodnim bratem pałającym chęcią odwetu. Niedługo potem najbliższa mi osoba znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Zostałem zmuszony do odbycia dalekiej podróży na krańce Midgardu. Płynąłem przez ziemie chrześcijan i muzułmanów, aż dotarłem do gorącego kraju piaszczystych wydym. Napotkałem tam: budzące grozę smoki, wielkie i żarłoczne lwy oraz majestatyczne kolosy, zwane słoniami. Najtrudniejsza była jednak walka ze strasliwym wrogiem, który oddawał cześć demonicznemu posagowi i pił ludzką krew.

Z rozmyślań wyrывa mnie kolejne stukanie do drzwi. Po chwili do izby wkracza ksiądz Anzelm odziany, jak zwykle, w czarną sutannę z kapturem. Pod nią nosi zapewne ciepłą, wełnianą tunikę. W prawej dłoni duchowny trzyma koszyk wypełniony zwojami pergaminu oraz pękami gęsich i kaczyczych piór. W lewej ręce dzierży spory flakon czarnego atramentu.

– Witaj, panie! – woła od progu, po czym podchodzi do stołu i zaczyna rozkładać na nim swoje przybory.

– Witaj, Anzelmie – odpowiadam. – Długo cię nie było.

– Cóż, miałem obowiązki w stolicy.

– Jakież to?

– Musiałem dopilnować skrybów, żeby zszyli karty zawierające twoje wspomnienia. Długo musiałem im się naprzykrzać, lecz w końcu spełnili moją prośbę i stworzyli pokaźny wolumin.

– Masz go przy sobie?

– Nie. Księga pozostała w Krakowie.

– Dlaczego?

– Bo sam książkę Kazimierz chciał ją przeczytać. Z tego co wiem, także biskup chce rzucić na nią okiem.

– Cóż. Wobec tego będę musiał poczekać na swoją kolej.

Nastaje chwila ciszy. Anzelm macza pióro w inkauscie i pyta.

– Możemy zaczynać, Gniewomirze?

Zaciskam prawą dłoń na rękojeści miecza i wydobywam go, przytrzymując pochwę kolanami. Rozlega się znajomy, charakterystyczny szczeł stali. Jakże on miły dla uszu starego wojownika! Dotykam ostrza mej klingi wskazującym palcem lewej ręki i wpatruję się w kroplę świeżej krwi, która spada na podłogę.

– Zaczynamy, przyjacielu – odpowiadam.



Część pierwsza

BRATERSKA WAŚŃ

*Jeżeli walczysz, to nie myśl o zwycięstwie, lecz
czyń wszystko, aby nie przegrać. Jeśli bowiem nie
zostaniesz pokonany, to pewnikiem zwyciężysz.*

Rozdział pierwszy

Wróciliśmy do Gniezna późną jesienią, roku pańskiego 1000. Natychmiast udałem się do gospody, w której zostawiłem Welewikę i Jaśka, zwanego Turem. Karczmarz powitał mnie w progu, mówiąc:

– Witaj, panie. Jak dobrze widzieć cię całego i zdrowego.

– Witaj, gospodarzu – odparłem. – Mówże, co z Welewiką i dzieckiem?

Oberżysta uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– Nie ma powodu do obaw, panie. Poród się udał. Matka jest zdrowa i radosna, a niemowlę dobrze się chowa. Oboje przebywają na górze w najobszerniejszej izbie.

Odetchnąłem głęboko, słysząc dobre wieści. Zaraz też wszedłem do oberży i przemierzyłem długim krokiem izbę biesiadną, nie zważając na siedzących przy stołach ludzi. Wspiąłem się na górę po skrzypiących schodach, wiodących do wąskiego korytarza. Po obu jego stronach znajdowało się kilka niewielkich pomieszczeń. Podeszedłem do jednego z nich i zastukałem w drzwi. Nie było odpowiedzi, więc powtórzyłem pukanie. Usłyszałem zgrzyt odciąganego rygla i po chwili odrzwia rozwarły się.

Stała w nich smukła niewiasta z rozpuszczonymi włosami, odziana w lnianą, zabarwioną na różowo szatę. Jej oczy, zielone niczym szmaragdy, wpatrywały się we mnie ze zdumieniem i radością. Była to oczywiście Welewitka.

Padliśmy sobie w objęcia, jak przystało na stęsknionych kochanków. Całowaliśmy się długo i namiętnie. Gdy wreszcie odkleiliśmy się od siebie, dziewczyna wprowadziła mnie do izby i wskazała na niewielką kołyskę, zrobioną z drewna oraz wikliny. Podszedłem do niej i ujrzałem śpiące dziecko, okryte szczelnie kołdrą z ptasiego puchu.

– To piękna dziewczynka – rzekła Welewitka, z dumą głósie – Nazwałam ją Marzanna.

– Dobre imię dla niewiasty – odparłem. – Jak przebiegł poród?

– Dobrze, lecz byłoby ciężko, gdyby nie pomoc Matki Najświętszej i książęcego medyka.

– Skąd wiesz, że pomogła ci matka Chrystusa?

– Czułam jej bliskość w najcięższych chwilach.

– Cóż, skoro tak mówisz. Gdzie kupiłaś kołyskę?

– Nie kupiłam. Jaśko ją zrobił na moją prośbę. Ma wiele ukrytych talentów.

– Owszem, a największym spośród nich jest podkochiwanie się w cudzych kobietach.

Welewitka zaśmiała się cicho, stwierdzając:

– Nie oceniaj go zbyt surowo. Podczas gdy ty walczyłeś z wrogiem na morzu, on musiał tkwić tu ze mną i dobrze się spisał. Dbał o mnie i nie odstępował na krok.

– Skoro tak, to gdzie teraz jest ów niezastąpiony stróż?

– Zjawi się niebawem. Wysłałam go do bartników po miód.

Jakby na potwierdzenie tych słów do izby wszedł Jaśko z garncem miodu w rękach. Zobaczył mnie i uśmiechnął się szczerze.

– Witaj, Gniewomirze – rzekł na powitanie. – Okryłeś się wielką chwałą. Wieści o śmierci króla Olafa i Elfhelma

Smoczego Łba już do nas dotarły. Chciałbym zobaczyć młot, który zdobyłeś.

– Wkrótce go ujrzysz, przyjacielu – odparłem. – Musisz też poznać nowych członków naszej drużyny.

– Nie mogę się doczekać. Gospodarz zaprasza cię na posiłek do izby biesiadnej. Proponuje pieczoną gęś w ziołowym sosie.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem płacz dziecka. To Marzanna przebudziła się i zakwiliła głośno. Matka wzięła ją w ramiona i podeszła do mnie, nucąc cicho jakąś kołysankę. Łagodnie dotknąłem policzka córki, która nadal nie przestawała płakać. Nie znała mnie jeszcze, więc nie mogłem jej uspokoić. Kiedy zbliżył się Jaśko, dziewczuszka umilkła i wyciągnęła do niego drobną rączkę. Sytuacja przybrała niezręczny obrót, lecz Welewitka wybrnęła z niej, mówiąc:

– Idźcie coś zjeść, a ja w tym czasie nakarmię Marzanke.

– Dobra myśl – stwierdziłem, spoglądając na Jaśka. – Chodźmy, przyjacielu.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem Welewitka została moją żoną. Ksiądz Teobald niejako wymusił na nas małżeństwo, twierdząc, że nasze życie nie będzie szczęśliwe, jeśli nie przysięgniemy sobie wierności w obliczu Boga. Ja nie byłem orędownikiem tego pomysłu, lecz Welewitka dała wiarę słowu kapłana i ostatecznie wyprosiła moją zgodę. Nie musiała długo nalegać, gdyż nie potrafiłem niczego jej odmówić.

Do dziś pamiętam ten wczesny świt, w którego blasku odbywałem swoją pierwszą spowiedź. Kłęczałem w naszej izbie przed stojącym księdzem Teobaldem usiłując pojąć, po co to wszystko? Nie rozumiałem, dlaczego mam żałować

tego, iż udało mi się dokonać pomsty. Dla Ludzi Północy była to przecież sprawa honoru.

– Nie powinienes się radować śmiercią swego wroga – tłumaczył spokojnie kapłan.

– Gdybym go nie zabił, to byłbyś martwy – przypomniałem mu.

– Być może. Już nieraz zapewniałem, że jestem ci wdzięczny za wybawienie z rąk tego ludzkiego potwora, lecz pragnienie zemsty jest samo w sobie złe.

Spieraliśmy się tak przez długi czas. Wreszcie duchowny postanowił udzielić mi rozgrzeszenia, jednakże pod pewnym warunkiem. Musiałem obiecać, że przy kolejnej spowiedzi będę bardziej świadomy swoich grzechów. Spowiednik wyznaczył mi też pokutę, polegającą na regularnej i szczerej modlitwie. Kiedy niechętnie przystałem na wymienione przez niego warunki, pozwolił mi wreszcie ucałować srebrny krucyfiks i oznajmił:

– Twoje grzechy są odpuszczone.

Następnie Teobald zabrał mnie i Welewitkę na poranną mszę do gnieźnieńskiego kościoła. Wysłuchaliśmy wielu modlitw i pieśni w języku łacińskim, którego wówczas nie znałem. Pod koniec uroczystości przyjąłem chrześcijański opłatek, zwany Najświętszym Sakramentem. Wyglądał jak zwyczajny kawałek chleba, lecz ksiądz zapewniał, że jest Ciałem Chrystusa gwarantującym zmartwychwstanie i życie wieczne.

Po mszy zostaliśmy w Domu Bożym, czekając, aż opustoszeje. Kiedy wrota kościoła zatrzęsły się za ostatnim z wiernych, Teobald udzielił nam ślubu. Zgodę na nasze zaślubiny w tej świątyni wyprosił ponoć u samego biskupa Ungera.

Staliśmy nieopodal grobowca wyświęconego niedawno męczennika Wojciecha. Ja byłem w pełnej zbroi, lecz bez broni. Welewitka z kolei przyodziana była w piękny płaszcz z lisich futer. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Obiecaliśmy sobie wieczną miłość i wierność, po czym Teobald rzekł:

– Teraz jesteście jednością jako mąż i żona. Zostaliście bowiem złączeni świętym węzłem przez Jedyne Boga.

Tamtego radosnego dnia opłaciłem ucztę dla moich wojów. W karczemnej sali biesiadnej zgromadziło się ponad sto głów. Nie każdy z biesiadników był jednak moim człowiekiem. Nie wiadomo, skąd wzięli się niektórzy goście. Mimo to wszyscy życzyli mi zdrowia i szczęścia oraz długiego żywota. Muszę przyznać, że ich życzenia się spełniły.

Raczyliśmy się pieczonym prosiakiem i kurczakami. Na stołach były również smażone gęsi, nadziewane suszonymi jabłkami. Piliśmy dużo rozwodnionego piwa oraz mleka. Śmialiśmy się i śpiewaliśmy aż do zmroku.

Gdy wreszcie nastała noc, poszedłem do żony. Legliśmy w łóżu i szybko skonsumowaliśmy nasze małżeństwo. Potem długo leżeliśmy spleceni ze sobą, wsłuchując się w skrzypienie drewnianych desek stanowiących wzmocnienie dachu gospody.

Welewitka zdradziła mi później, że tamtej nocy śniła o rodzinnych stronach. Ja również śniłem wówczas o Egilsgardzie z dziecięcych lat.

Książę Bolesław przyjął mnie w połowie stycznia, roku pańskiego 1001. Popołudniową porą zostałem wezwany przed jego oblicze do sali audiencyjnej. Powiedli mnie tam dwaj ponurzy wojowie, którzy o dziwo nie odebrali mi broni. Zerkali tylko podejrzliwie na mój miecz oraz na

ogromny młot bojowy, należący niegdyś do budzącego postrach Elfhelma Smoczego Łba.

Najpierw wprowadzili mnie do wąskiego przedsionka i jeszcze raz dokładnie przeszukali. Następnie przekroczyłem próg książęcej hali. Wszedłem przez rozwarte drzwi do obszernej i zadymionej izby, oświetlonej trzydziestoma pochodniami, które umocowano w ścianach obwieszonych przeróżnymi rodzajami broni: mieczami, toporami, włóczniami oraz tarczami. W ogromnym palenisku buchał ogień i trzaskały płonące polana.

Książę siedział na wysokim tronie, wyściełanym miękkimi skórami. Odziany był w szary płaszcz z wilczego futra. Na kolanach trzymał miecz schowany w pochwie zdobionej klejnotami. Spoglądał na mnie swym przenikliwym wzrokiem, uśmiechając się lekko. Jego rozpuszczone ciemnobrązowe włosy opadały swobodnie na ramiona. Długa broda, zapleciona była w warkoczyk na normańską modłę.

Podszedłem do niego i pokłoniłem się, mówiąc:

– Witaj, panie.

– Witaj, Gniewomirze – odparł. – Widzę, że powaliłeś swego wroga.

– Tak. Zdołałem pokonać Elfhelma Smoczego Łba. Jego młot przyniosłem w darze dla ciebie, panie.

Bolesław oparł swój miecz o krzesło i wstał. Podszedł do mnie i chwycił oburącz młot bojowy. Zamachnął się nim tak gwałtownie, iż musiałem nieco odskoczyć. Następnie zważył go w prawej dłoni i uniósł w górę. Długo mu się przypatrywał, po czym rzekł:

– To wspaniała broń. Każdy władca chciałby ją mieć w swojej kolekcji. Ja jednakże nie zwykłem odbierać oręża tym, którzy mi dobrze służą. Zdobyłeś go w walce, więc jest twój.

– Wielkie dzięki, mój panie – odparłem, nie skrywając radości.

Księżę zwrócił mi młot, po czym wrócił na swój tron. Sięgnął po miecz i znów położył go na kolanach.

– Prawda li to, że król Norwegii utonął? – spytał.

– Tak. Byłem przy tym. Olaf Tryggvason dzielnie walczył, lecz kiedy chciał przeskoczyć na inny okręt, wpadł do wody i ciężar zbroi pociągnął go na dno.

– Szkoda. Tak wielki wojownik zasłużył na godną śmierć.

– Cóż, panie. Nie musiał tonąć. Gdyby pozostał na pokładzie swej ogromnej łodzi, to najpewniej zginąłby w boju, jak prawdziwy Wiking.

– Przynajmniej w północnych krainach nastanie teraz spokój. Swen Widłobrody urósł w potęgę i nie dopuści do szerzenia się buntów. W Norwegii rządzi podległy mu jarl, a szwedzki władca Olaf Skotkonung jest jeszcze młody i niedoświadczony.

– Masz słuszość, panie, lecz zawsze znajdzie się zuchwały wódz, który zechce uprawiać viking, nie zważając na sojusze, zawarte przez królów i książąt.

– Wiem. Dlatego właśnie potrzebuję ciebie.

– Rozkazuj, panie.

Nim Bolesław zdążył odpowiedzieć, zaskrzypiały drzwi. Odwróciłem się odruchowo i ujrzałem chłopca, który wszedł do izby. Wyrostek odziany był w obszerny kubrak i grube, wełniane spodnie. Jego lekko uśmiechnięta twarz wyglądała znajomo. Skośtunione i tłuste włosy również przypominały mi kogoś. W mig pojąłem, że jest to Dobrogost, z którym rozmawiałem zeszłej zimy.

Sługa trzymał w dłoniach zrolowany zwój pergaminu, obwiązany starannie rzemieniem.

– Wasza Książęca Mość, dokument gotowy – oznajmił młodzian.

– W samą porę Dobrogoście, podejdź.

Posłuszny paż przybliżył się do swego władcy i przekazał mu pismo.

– Możesz odejść – odprawił go książę.

Dobrogost skłonił się nisko i wyszedł. Kiedy mnie mijał, uśmiechnął się szerzej. Najwidoczniej on również mnie rozpoznał.

Po wyjściu sługi w izbie nastała cisza. Mieszkowy syn rozsypał rzemień i rozwinął rulon. Czytał dokument przez dłuższą chwilę, po czym starannie zwinął pergamin i ponownie obwiązał go rzemieniem. Następnie skupił wzrok na mnie i oznajmił.

– Wypełniłeś zadanie, które ci zleciłem. Dobrze wspierałeś Swena Widłobrodego – młot Smoczego Łba w twej dłoni jest na to dowodem. Ponadto, skorzystałeś z moich zaleceń i ochrzciłeś się. Nadszedł więc czas, aby cię wynagrodzić.

Bolesław przerwał na chwilę, by podkreślić wagę swych słów. Wkrótce jednak przemówił ponownie:

– Moim życzeniem jest, abyś mi służył. Otrzymałeś właśnie w darze sporą połąć ziemi, leżącej nad morskim brzegiem. Miejsce to znajduje się w połowie drogi pomiędzy Kołobrzegiem a Gdańskiem. Zbudujesz tam osadę, w której zamieszkas. Będiesz roztaczał opiekę nad kilkoma wsiami i pobierał daniny w naturze z plonów i trzody oraz rozmaitego rzemiosła. Będiesz polował w lasach i wycinał drzewa. Masz bowiem prawo do czerpania zysków z handlu drewnem. Zbudujesz także solidną łódź bojową, którą obsadzisz bitną załogą. Ponadto wiedz, iż

na okres dziesięciu lat zwolniłem cię z obowiązku płacenia danin na rzecz książęcego skarbcza.

Książę ponownie zamilkł aby ocenić, czy dotarły do mnie jego słowa. Kiedy pochyliłem głowę w lekkim ukłonie, kontynuował.

– W zamian za tak hojne nadania będziesz służył mi zbrojnie. W przeciągu dwóch lat wystawisz bitną drużynę, liczącą co najmniej stu wojów. Będziesz zwalczał morskich rozbójników i krwiożerczych Bałtów, którzy nadal uparcie tkwią w pogaństwie. Czy zgadzasz się z moją wolą?

– Oczywiście, panie. Dziękuję.

Syn Dobrawy ponownie odłożył miecz. Wstał ze swego stolca i podszedł do mnie. Następnie włożył mi w dłoń pismo, mówiąc:

– Tu jest zapisane wszystko, com rzekł. Dokument jest opatrzony moją pieczęcią, którą każdy piśmienny człek rozpozna. Byłoby dobrze, gdybyś i ty nauczył się czytać.

– Pomyślę o tym, panie – odparłem. – Będzie mi towarzyszył książdz Teobald, więc poproszę go, aby nauczył mnie sztuki stawiania i rozpoznawania liter. Chciałbym jednak jeszcze o coś cię spytać, książę.

– Pytaj, Gniewomirze.

– Czy mam wolną rękę w pozyskiwaniu wojowników?

– Oczywiście. Nie obchodzi mnie, kogo zwerbujesz. Mogą to być najemnicy, awanturnicy, zbroje, pojmami jeńcy lub miejscowi chłopci. To ty będziesz odpowiedzialny za ich poczynania. Ja tylko chcę mieć kilkaset dodatkowych mieczy broniących wybrzeża.

– Zapewniam, że będziesz je miał, panie.

– Trzymam cię za słowo, Gniewomirze. Możesz odejść.

Skłoniłem się lekko w podzięcie i skierowałem swe kroki ku wyjściu z izby. Kiedy przekraczałem próg, Bolesław rzekł:

– Niechaj się szczęści tobie i twej nadobnej żonie oraz nowo narodzonemu dziecięciu. Pragnę, abyście jak najrychlej doczekali się męskich potomków.

Odwrociłem się i jeszcze raz spojrzałem w oczy księcia.

– Dzięki ci, panie – odparłem z wdzięcznością. – Niech jasne słońce zawsze błyszczysz w klindze twego miecza.

Mroźną zimę spędziliśmy w Gnieźnie. Obficie padający śnieg zasypał gościńce. Przez kilka niedziel gród był odcięty od świata. Nie docierali doń podróżni ani posłańcy. Wszystko dookoła było skute lodem. Mieszkańcy miasta zrywali grube sople ze strzech i topili je nad ogniem. Dzięki temu mieli czystą wodę. Było to rozsądne działanie, gdyż śnieg pokrywający dachy domostw i drogi był brudny, a studnie zmroził lód.

W oberży Jakuba byliśmy bezpieczni. Kilku wojów zamieszkało ze mną w izbach na piętrze gospody. Pozostali znaleźli schronienie w chałupach na podgrodziu. Mieszkańcy Gniezna przyjmowali chętnie moich wojowników, gdyż płacili za gościnę oraz rąbali drewno na opał. Niektórzy gospodarze, wietrząc zysk, wpychali im pod kołdrę swe niezamężne córki, których najwyraźniej nie chcieli już utrzymywać.

Bardzo dobrze wspominam tamten czas. Wcale nie spieszyło mi się do wiosny. Dniami chodziłem z mężczyznami do boru i powalałem drzewa wielkim toporem. Nocami kochałem się z Welewiką. Cudownie było nam ze sobą. Leżeliśmy przytuleni do siebie i snuliśmy marzenia

o szczęśliwym życiu. Podczas jednej z takich nocy niewiasta stwierdziła:

– Nie chcę mieszkać nad brzegiem morza.
– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Przez większość życia mieszkałaś na wyspie.

– Wiem, lecz w głębi lądu jest bezpieczniej.

– Niby czemu?

– Intruzi często przybywają od strony morza, a potem grabią, palą i niszczą.

– Równie często wrogowie nadchodzą lądem i też palą oraz gwałcą.

– Wiem, ukochany. Nie o tym myślę.

– A o czym, moja piękna?

– O pewnym śnie, który powtórzył się już trzykrotnie.

– Jakiż to sen?

– Taki, w którym zostałam porwana.

– Przez kogo?

– Nie wiem. Był to jakiś morski rozbójnik. Porwał mnie wówczas, kiedy ty byłeś poza domem. Na jego łodzi przemierzyłam ogromne morza, aż dotarłam do dziwnego kraju, zamieszkałego przez potwory oraz ludzi różniących się od Normanów i Słowian. Trafiłam do siedziby straszego, owładniętego mrokiem człeka, który oddawał cześć jakiemuś krwiożerczemu bożkowi. Mężczyzna ten zniewolił mnie i zaciągnął do łóża. Nim się zbudziłam, ujrzałam nóż przytknięty do szyi.

Welewitka przerwała na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza. Nim zdążyłam się odezwać, kontynuowała:

– Widziałam również ciebie. Wyruszysz w podróż, aby mnie odnaleźć. Będą z tobą nie tylko twoi ludzie, lecz także inni wojownicy, płynący na osobnych statkach. Wspólnie

napadnięcie na siedlisko zła i spalicie je. Będziesz walczył ze strasznym człowiekiem, który cię zabije. Uczyni to jednym pchnięciem w serce.

Ostre jak nóż słowa niewiasty zmroziły mi krew w żyłach. Momentalnie poczułem chłód. Szybko jednak przeгнаłem mroczne myśli i uśmiechnąłem się słabo.

– Z twoich słów wynika, że oboje zginiemy – stwierdziłem.

Nie spuszczaając ze mnie wzroku, Welewitka odparła:

– Tak. Widziałam wszystko.

– Sen nie musi się ziścić.

– Wiem, lecz może. Sny często ostrzegają nas przed niebezpieczeństwem.

– Owszem, lecz nie zawsze mają jakieś znaczenie.

– Nie nam to oceniać.

– Posłuchaj mnie, kobieto. Czy śniłaś o tym, że przybędę do Arkony i uwolnię cię spod jarzma Radosława?

– Nie.

– A widzisz. Mimo to porwałem cię i stałaś się wolna. Odmieniłaś swój los z własnej woli, a ja ci w tym pomogłem. Dlatego nie zważaj na sny i żyj w spokoju. Nie pragnę, abyś stała się wieszczką.

– Wiem, Gniewomirze. Życzysz sobie, abym dała ci szczęście.

– Owszem, ukochana.

Welewitka roześmiała się, zarzucając mi ręce na szyję. Następnie dotknęła wargami mych ust. Ja odwzajemniłem pocałunek. Kochaliśmy się długo i namiętnie, aż w końcu zmęczeni padliśmy na posłanie. Wspaniałe włosy żony przylepiły się do mojej twarzy. Upojony ich cudowną wonią szybko zasnąłem. Tamtej nocy nie miałem żadnych snów.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Spis treści

Prolog	4
Część pierwsza	9
<i>Braterska waśń</i>	
Rozdział pierwszy	10
Rozdział drugi	22
Rozdział trzeci	38
Rozdział czwarty	68
Część druga	93
<i>Poprzez Midgard</i>	
Rozdział piąty	94
Rozdział szósty	124
Rozdział siódmy	153
Rozdział ósmy	168
Rozdział dziewiąty	197
Epilog	230
Nota historyczna	237